

Samuel Sandler, Przemysław Kaniecki

Płynność : rozmowa z profesorem Samuelem Sandlerem o początkach Instytutu Badań Literackich PAN

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 2 (146), 265-283

2014

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Rozmowy

Przemysław Kaniecki, Samuel Sandler

Płynność. Rozmowa z profesorem Samuelem Sandlerem o początkach Instytutu Badań Literackich PAN

Przemysław Kaniecki: Kiedy zaczął pan profesor pracować w IBL-u?

Samuel Sandler: Zostałem starszym asystentem IBL-u, będąc jeszcze asystentem Uniwersytetu Wrocławskiego.

Jak do tego doszło?

Najpierw były prace zleczone, na przykład pisałem rozprawę o Świątobowskim. Później wciągnięto mnie do pracowni pozytywizmu. Ta idea – Tadeusza Drewnowskiego, Marii Żmigrodzkiej, Marii Janion – żeby mnie sprowadzić do Warszawy, powstała, kiedy Stefan Żółkiewski odchodził do organizowania Polskiej Akademii Nauk. Potrzebowali kogoś, kto by się zajmował Instytutem organizacyjnie. Żółkiewski odchodził, inni byli zajęci na uniwersytecie, więc wymyślili, że może będę pasował. Nie zrobili mi przysługi, Wrocław był przyjemniejszy niż Warszawa.

Stało się to krótko po obronieniu przez pana pracy doktorskiej, jeśli dobrze sytuuję czasowo.

We Wrocławiu pracowałem w latach 1948-1951.



Praca zrealizowana w ramach grantu NPRH 11H 11 022580 „Instytut Badań Literackich w życiu naukowym, kulturalnym i społecznym PRL w latach 1948–1989. Postawy inteligencji wobec przemian społecznych i politycznych. Monografia środowiska intelektualnego”.

Samuel Sandler – historyk literatury, em. prof. University of Chicago, przed emigracją w 1969 r. pracownik IBL, UW, UŁ. Zajmuje się głównie literaturą XIX i XX w. Wkrótce ukaze się wybór Kronik Prusa pod redakcją badacza.

Przemysław Kaniecki – adiunkt na Wydziale „Artes Liberales” UW, pracuje w Muzeum Historii Żydów Polskich. Autor monografii *Wniebowstąpienia Konwickiego*, redaktor zbioru wywiadów *Nasze historie, nasze nadzieje* (2013). Kontakt: p.kaniecki@gmail.com

Mógłbym o to dopytać? Chciałbym na początku zakreślić pewien kontekst pana biografii naukowej. Ciekawa rzecz: w roku 1950 obronił pan pracę magisterską, a już w następnym...

...a w następnym roku doktorską.

Właśnie, intrygujące.

Pracy magisterskiej broniłem na socjologii, natomiast tę pracę, która okazała się doktorską, pisałem jako również magisterską – na filologii polskiej. Przyniosłem, dałem profesorowi Tadeuszowi Mikulskiemu, i on powiedział, że to nadaje się na doktorską. Miła niespodzianka: nie mam stopnia magistra polonistycznego, mam doktorat. Musiałem jeszcze tylko pozdawać egzaminy.

Wie pan, po tych paru latach getta, posuchy w uczeniu się, rzucałem się na wszystko: studiowałem polonistykę, socjologię, chodziłem na wykłady Kotarbińskiego z logiki dla prawników, jeszcze w Łodzi chodziłem do redakcji „Kuźnicy” na organizowane przez redaktorów spotkania, studiowałem w takiej szkole dziennikarskiej, która była prywatna i którą, ponieważ była prywatna, zamknęli po dwóch latach.

Pamiętam, mówił pan o tej szkole i o Łodzi, o PAP-ie, Teresie Torañskiej w wywiadzie *Werbowali na ulicy*.

Tak. Chodziłem do tej szkoły rok i znajoma z kursu powiedziała mi: dlaczego nie przyjdiesz do PAP-u, potrzebują ludzi. W tym okresie moim marzeniem było, by zostać dziennikarzem, więc poszedłem tam i zacząłem pracować. Moje przeniesienie się do Wrocławia było zresztą związane z przeniesieniem właśnie z łódzkiego oddziału PAP-u do oddziału wrocławskiego.

Przy okazji pracy w Agencji poznałem Juliana Strykowskiego – bo między Łodzią a Wrocławiem wysłano mnie do Katowic na sześć tygodni. Strykowski, który był kierownikiem oddziału PAP-u w Katowicach, właśnie wtedy stamtąd odchodził, bo Julia Mincowa, szefowa PAP-u, wydelegowała go jako korespondenta do Włoch. Dzięki temu poznaniu, gdy spotykaliśmy się później w Warszawie, zawsze rozmawialiśmy. Ilekroć w 1968 roku zdarzały się takie spotkania, zawsze pytał nerwowo: czy się panu coś stało? czy się panu coś stało?

Jeśli chodzi o Agencję, pożegnałem ją w 1949 roku, gdy dostałem stypendium na pracę magisterską.

Tę, która okazała się pana pracą doktorską.

Pisałem ją właśnie jako starszy asystent w Instytucie Badań Literackich. Zamówiono ją u mnie na konferencję poświęconą Sienkiewiczowi, gdzie miałem mówić o *Trylogii*. Do konferencji nigdy nie doszło, nikt nic nie napisał, ale ja tak – i miałem gotową pracę.

Pamiętam z wywiadu Teresy Torąńskiej, że *Wokół Trylogii*, gdy już książka została opublikowana, umożliwiła bytność Sienkiewicza w Polsce Ludowej, przynajmniej w latach 50.

No tak, mówiono mi, że otwierała drogę Sienkiewiczowi, który był politycznie „trefny”. A zachętą do podjęcia tego projektu było takie zdarzenie. Na egzaminach wstępnych Mikulski ośmielił się zapytać kandydata na studenta, co sądzi o *Trylogii* Sienkiewicza – i ten kandydat nie wiedział, co ma odpowiedzieć, był bardzo zakłopotany. Bo funkcjonowała opinia, że to dosyć reakcyjna książka. I on przebaknął: różnie o tym mówią – i nie chciał kontynuować. Uderzyło mnie, że trzeba się Sienkiewiczem zająć. Nie miałem jasnego planu, gdy zaczynałem pisać, co powstanie. Zwyczajnie: lektury, studiowanie mną pokierowały.

Prace nad Sienkiewiczem kontynuował pan i później – zajmował się pan nim jeszcze w latach 60.

Poniekąd. Nie powiedziałbym, że zajmowałem się, po prostu napisałem kilka tekstów. Zwrócili się do mnie redaktorzy z PIW-u, żebym dał wstęp do *Potopu*, napisałem ten wstęp. Później poprosili mnie, gdy byli niezadowoleni ze wstępu Leona Kruczkowskiego do *Trylogii*, żebym przygotował wstęp, więc go przygotowałem, zrobiłem tam też przypisy; nawet kilka wydań wyszło w tym opracowaniu.

Bezpośrednio po *Wokół Trylogii* zabrałem się za Białobłockiego, który zainicjował krytykę marksizującą. Przechwaliłem go, ale on mnie zafascynował jako młody człowiek, który w morzu zupełnie dla siebie obcym zaczął uprawiać rzecz, która była wielkim novum w XIX wieku. I zajmowałem się Świętochowskim. Po tym, jak napisałem o nim tę socjologiczną pracę magisterską, którą Kott wziął do *Pozytywizmu*, zacząłem pisać studia o *Niewiomych*. Później wydałem zresztą książkę o Świętochowskim, składającą się z tekstów o jego publicyście, o *Niewiomych* i o jego nowelach.

Jego nowele i dramaty wydał pan także w Bibliotece Narodowej. W ogóle współpracował pan z Ossolineum przy tej serii, prawda?

Redaktorzy mieli kłopoty z wydawaniem jej tuż po wojnie i zwrócili się do mnie z prośbą o pomoc. Powiedziałem Hulewiczowi, że przecież właściwie

mają gotowe teksty: zaczęli od wydawania Moliera ze wstępem Boya, potem wyszła antologia *Młoda Polska* z jego wstępem.

Jak to się stało, że zasięgnęli wówczas pana opinii?

Współpracowałem już z nimi przy „Bibliotece Szkolnej”, pisałem do niej recenzje wydawnicze. Ossolineum płaciło za to grosze, ale dla mnie jako studenta było to bardzo pomocne, stanowiło ważne uzupełnienie asystentury, z której utrzymywaliśmy się ja i moja żona, także studentka.

Żona studiowała pedagogikę, a raczej zajmowała się jej historią w XIX wieku: Froebel, wychowanie przedszkolne w Galicji i Królestwie Polskim. Na ten ostatni temat wydała książkę, która miała być podstawą habilitacji. Była adiunktem w Zakładzie Historii Wychowania PAN. Ale był to już rok 1968 i raczej zastanawialiśmy się nad emigracją z Polski.

Zresztą to, że wyjechałem z Polski dopiero pod koniec 1969 roku, czyli w czasie dość nietypowym dla wyjazdów, było związane właśnie z Biblioteką Narodową. Założona przez Stanisława Kota w 1919 roku miała obchodzić jubileusz pięćdziesięciolecia i ludzie z Ossolineum prosili mnie, żebym przedłużył pobyt, aby nie zepsuć im jubileuszu. Ale latem 1969 roku ogłoszone zostało oświadczenie rządowe, że emigrantom nie będzie się pomagało (i tak nie pomagali, ale była tam też jakaś pogroźka, że mogą robić trudności), dlatego uznałem, że trzeba wyjechać, i zabrałem się wcześniej. Jubileusz się odbył, a w relacjach podawano, że redaktorami BN są Jan Hulewicz i Samuel Sandler. Napisałem nawet w pośpiechu wstęp do nowego katalogu wydawnictw BN. Udawano w sprawozdaniach prasowych z jubileuszu, że tam jestem.

Wyjechał pan najpierw do Tel-Awivu.

W zasadzie planowaliśmy z żoną wyjazd do Danii, bo miałem obiecaną tam pracę w bibliotece uniwersyteckiej w Odensee do czasu nauczenia się duńskiego. Sugerowano, że będą jakieś możliwości zatrudnienia w którymś z zakładów studiów slawistycznych. Moja żona była entuzjastką emigracji do Danii ze względu na szeroko tam rozwinięte szkolnictwo przedszkolne i kształcenie jego personelu.

Zjechałem do Wiednia. Otrzymałem listy od Weintrauba i Terleckiego, profesorów w Ameryce, żebym koniecznie przyjechał do Stanów, że jest zapotrzebowanie, mógłbym dostać pracę. Zdecydowałem się jednak jechać do Izraela, bo tam proponowano mi pracę akademicką na uniwersytecie w Tel Avivie. Liczyłem na to, że dostanę jakiś rok na nauczenie się hebrajskiego, ale okazało się, że musiałem prowadzić zajęcia od razu po przybyciu tam. Pomagali mi tłumacze, bo co najmniej dwoje studentów znało język polski. Uczylem tak rok.

I wyjechał pan w końcu do Ameryki. Przebywając tam, nominalnie był pan jeszcze przez trzy lata pracownikiem uniwersytetu w Izraelu.

Wyjeżdżałem do Stanów z planami powrotu do Izraela. Myślałem, że w University of Illinois będę miał czas nauczyć się hebrajskiego. Ale tam, po pierwsze, zajęcia były bardzo absorbujące, więc nie uczyłem się języka hebrajskiego, a po drugie z University of Chicago otrzymałem w pewnym momencie propozycję przejścia na ich slawistykę. To była tak dobra propozycja, że rektor z Tel Avivu sam doradzał mi jej przyjęcie, sam stwierdził, że to zaproszenie jest wyjątkową okazją.

Z artykułu Aliny Perth-Grabowskiej z paryskiej „Kultury”, opublikowanego w okresie pana wyjazdu z Izraela do Ameryki (numer październikowy 1970), dowiedziałem się, że profesurę mógł być pan otrzymać jeszcze jako pracownik IBL-u.

Zatrzymał moją kandydaturę Gomułka na posiedzeniu Rady Państwa.

Bardzo zaszczytne – zgłosił osobiste veto.

Rzeczywiście, mówiono mi, że sekretarz PAN-u obecny na posiedzeniu Rady Państwa wypadł z wypiekami na twarzy z sali plenarnej i pytał: kto to jest Sandler?! – chciał koniecznie wiedzieć, kim jest człowiek, któremu nie pozwala nadać profesury sam pierwszy sekretarz. Oprócz mojej zatrzymał jeszcze kandydaturę syna działacza PSL-owskiego, wykładającego na Uniwersytecie Jagiellońskim.

I to raczej jasne, dlaczego wówczas taki naukowiec nie mógł dostać profesury, ale co przeszkadzało mu u pana?

Coś o nim mówiłem niepochlebnie. Nawet napisałem, na polecenie przesłuchującego mnie funkcjonariusza SB, treść mojej paryskiej rozmowy z profesorem Stanisławem Kotem, w której ten bardzo krytycznie ocenił kierownictwo PZPR, a Gomułkę nazwał wprost idiotą. Zresztą jakiś wpływ mogło mieć i to, że w 1965 roku zgłosiłem się na świadka obrony w sprawie Jana Nepomucena Millera oskarżonego o znieważenie władz polskich w artykułach ogłoszonych pod pseudonimem w „Wiadomościach” londyńskich, w których pisał o niekompetencji i szkodnictwie władzy w Polsce i jej niewolniczym wypełnianiu nakazów z Moskwy. Między innymi też nazwał Gomułkę idiotą.

Skądinąd można z tym skojarzyć i pana publiczny komentarz, sformułowany w innym trybie. Tuż przed emigracją wydał pan *W Nienadybach byczo jest*, wybór tekstów nieznanych Struga. Znamienny tytuł.

Mogłem dać inny, mogłem też nie dawać specjalnego tytułu i zaproponować na przykład po prostu „Niewydane teksty” czy „Nieznane teksty”, ale chciałem dać tytuł, który by mówił coś – i dałem ten, bo mi pasował do Polski, zwłaszcza pomarcowej. Zieliński, z tej frakcji wojskowej, objechał mnie w „Kulturze” warszawskiej. To było bardzo ładne, ucieszyło mnie – stwierdził, że piszę o rzeczach dawnych, ale robię aluzje do terażniejszości.

To było swoiste pana pożegnanie z PRL-em.

Pożegnanie – okazało się – było inne, trochę dziwaczne, trochę zabawne. W 1966, 1967 roku doszedłem do wniosku, że spadną na innych i na mnie ograniczenia, zakazy drukowania itd., ale że na pewno nie zatrzymają Świętochowskiego – i z PIW-em zawarłem umowę na dwa tomy *Liberum veto*. Napisałem wstęp, zrobiłem wybór. Emigrując, pogodziłem się z tym, że ze względu na mój wyjazd nie będzie to najpewniej drukowane. Zresztą PIW pięknie się zachował, zapłacił mi znaczną część honorarium na wyjeźdnym, przed wydrukowaniem.

Myslałem, że to w ogóle przepadło. Ale w 1976 roku nagle Grzeniewski napisał recenzję. Zastanawiałem się, skąd się bierze recenzja książki, która nie istnieje. Ale napisał też Koźniewski. I stąd dowiedziałem się, że to wydano. Bez mojej korekty, bez mojej kontroli – po prostu PIW wydał to, bo zaangażował się finansowo. A recenzje były takie, jakbym ja był w kraju, nie było najmniejszej wzmianki, że to jest praca emigranta. Tak że siedem lat po emigracji jeszcze mnie publikowali, mimo zakazu drukowania w prasie nazwiska i tak dalej.

Właściwie to chyba się pan ucieszył?

Trochę było mi to obojętne w tym okresie.

Aż tak?

Byłem nastawiony pesymistycznie. Myslałem, że moje związki z Polską się skończyły po prostu. Bo nawet moi przyjaciele byli pełni entuzjazmu dla tego, jak system się zmienił – rzekomo – w latach 70. Cieszyli się tym pięć lat.

Przed wyjazdem w ogóle zakończył pan etap wieloletnich i różnorodnych projektów, które zaowocowały pracami edytorskimi, monografiami, zaowocowały książkami popularyzatorskimi – jak np. sławna praca o Reducie Ordona z 1955 roku czy redakcja tomu wspomnień o Andrzeju Strugu. Jeśli chodzi o prace edytorskie z końca lat 40., z lat 50. i 60. – redagował pan wybory nie tylko tekstów pisarzy, ale także krytyków literackich i historyków literatury. Pierwszą taką pracą były dwa tomy pism Wacława Borowego, przy których współpracował pan z Tadeuszem Mikulskim i Jerzym Ziomkiem.

Borowego bardzo ceniłem jako krytyka i badacza literatury. Kiedy umarł, poszedłem do Mikulskiego i do Ossolineum, czy by go wydali. Proszę posłuchać, bo to jest ważne dla obrazu Instytutu. Oni powiedzieli, chyba otwarcie, że się boją. I jak Żółkiewski, którego znałem ze względu na związki z IBL-em, przyjechał na zjazd młodych polonistów do Wrocławia, poszedłem do niego i powiedziałem: mam taki pomysł, jeżeli pan profesor (wtedy nie byliśmy jeszcze na ty) powie, że można wydać wybór pism Borowego, to oni wydadzą; kiedy ja proponuję, to się boją, ale po pana propozycji na pewno by się zdecydowali. I Żółkiewski z ochotą, chociaż był krytykiem Borowego – bardzo krytykował jego książkę o poezji oświecenia – poszedł ze mną do Ossolineum, powiedział, że Borowy był wybitnym krytykiem, że propozycja Sandlera jest dobra i powinni to wydać. Wydali.

Mikulski napisał wstęp. Wstęp nieco zachowawczy, jakby ubezpieczający projekt.

Bardzo króciutki. Byłem rozczarowany, ale on nie chciał ryzykować, bo... Żółkiewski pisał źle o Borowym. Więc ten wstęp zawodzi, zasługiwał Borowy na coś więcej – niemniej wyszedł ten wybór. Nawet nie wiedziałem przez długi czas, że z artykułu o wersyfikacji cenzura wyrzuciła użyty przez Borowego przykład, który wydał jej się „podejrzany” politycznie. Nie miałem o tym pojęcia, powiedziała mi to dopiero po latach moja dobra przyjaciółka Zofia Stefanowska, która też o tym napisała. Poza tym wszystko inne przeszło – myśmy oczywiście byli ostrożni, ale najważniejsze rzeczy tam się znalazły.

Poza teoretycznymi. Ale potem wydawanie tych pism kontynuowano, pod redakcją właśnie Zofii Stefanowskiej. Napisał pan nawet recenzję.

Później podjęto prace nad pełnym wydaniem. Bardzo ceniłem Borowego, to był bardzo dobry pisarz, nie tylko krytyk, ale i pisarz – uroczo pisał,

z wielkim wdziękiem. Ale to jest ważne: Żółkiewski był wtedy dyrektorem Instytutu, uchodził za pogromcę Borowego, a poszedł do Ossolineum, by wydali.

Porządny człowiek.

No, bardzo porządny. Nadzwyczajnie. Nieszczęście polegało na tym, że jak on napisał krytyczną recenzję Borowego, to Borowy był bojkotowany na uniwersytecie i to się stawało kampanią polityczną. W Polsce wszystko robiło się polityczne, no niestety.

Zresztą kiedy Górskiego i Szweykowskiego zawieszono w prawach wykładowania, to właśnie Żółkiewski spowodował, że Górskiemu powierzono pieczę nad *Słownikiem Mickiewiczowskim* w Toruniu, a Szweykowski miał przygotować pełne wydanie *Kronik* Prusa w Poznaniu. Najpewniej musiał Żółkiewski zabiegać o to w samym KC.

Jak wyglądało budowanie IBL-u w tych latach?

Punkt wyjścia był jednak rygorystyczny: trzeba stworzyć przeciwwagę dla konserwatywnych, starych badań literackich. Ale jak Żółkiewski zaczął tworzyć Instytut i jak później Wyka był dyrektorem – to otworzyli drzwi dla wszystkich właściwie, bo chodziło w gruncie rzeczy o to, by powstało solidne badanie literackie.

Pan przybył jako badacz pozytywizmu.

Najpierw zostałem wprowadzony jako osoba, o czym wspominałem, „organizacyjna”, jako sekretarz naukowy. To też robiło złą krew – młody, dopiero zrobił doktorat, dwadzieścia pięć lat, a „kieruje” Instytutem. Zabawne, bo Żółkiewski powiedział mi kiedyś: to są moi przyjaciele, więc jestem bezradny w pracach z nimi, ty przychodzisz z zewnątrz, będą się bardziej liczyli. Oczywiście nie liczyli się z dwudziestopięcioletkiem!

O kim mówił dokładnie?

O Budzyku, Mayenowej, Baculewskim, Korzeniewskiej – o tej grupie, która do Instytutu przyszła razem z nim, ludziach, którzy byli z nim związani podczas okupacji. Budzyk, Baculewski; bo Żółkiewski uczył w tej szkole zawodowej, w której Baculewski był dyrektorem.

Wiele ostatnio ukazuje się o IBL-u tekstów, które można nazwać szeroko – źródłowymi. I był okres, kiedy sporo mówiło się o IBL-u w kontekście jego tzw. czarnej legendy.

Ja wiem, ja wiem, sam jestem częścią tej czarnej legendy. No nie, rzeczywistość, ulegało się czasem takim modnym rzeczom, które głosił Andrzej Stawar i inni – ale też szybko się odcinano od tego. Gdy Stawar napisał, że *Trylogia* jest odpowiedzią na ruch robotniczy – po wykazaniu, że tak nie jest, w badaniach przyjęło się, że nie jest, i koniec. I Stawar sam zmienił: w drugim wydaniu książki całkowicie to usunął, zaczął mówić o ruchu narodowowyzwoleńczym i o tęsknotach niepodległościowych – nawet atakował go Jerzy Kwiatkowski w „Życiu Literackim” za to, że nie dał w nowym wydaniu odsyłacza, dlaczego zmienił.

IBL po etapie marksistowskiego ogniska, za jakie był uważany, staje się forpoczta nowych trendów teoretycznych i metodologicznych, dystansowania się od ideowych wytycznych. Te nowe prądy stają się właśnie jakby odpowiedzią – remedium na marksizm, są dobitnie antydogmatyczne. W latach 60., 70. prowadzi się na przykład badania strukturalistyczne.

Strukturalizm był oficjalną wersją, w gruncie rzeczy chodzi o rzecz prostszą. Przecież jako badacze literatury jesteśmy eklektykami, nawet jak Michał Głowiński pisze o wierszach Leśmiana, to nie jest tylko strukturalista, jest badaczem tekstu i używa wszystkich możliwych środków do zrozumienia go. Ale strukturalizm był taką wygodną furtką, dla niektórych przynajmniej, służył do odcinania się od dogmatycznego marksizmu. Miłosz mówił żartobliwie, że wszyscy strukturaliści to są byli marksiści.

Można by powiedzieć – i ja już usłyszałem takie określenie – że to była odtrutka.

No tak, ale było to też wygodne odejście, bo niekoniecznie pozbywano się dogmatyzmu, zaczynając operować elementami strukturalizmu. Levi-Strauss sam miał podkład marksizujący.

Proszę zwrócić uwagę, że strukturalizm rozwijał się u nas dopiero w latach 60., nie wcześniej właściwie. Przy czym mówiąc szczerze, kiedy ja jeszcze byłem w dyrekcji IBL-u jako kierownik działu drugiej połowy XIX wieku, uważano, że trzeba robić dla tego drogę, stąd przyjęcie tej całej grupy młodych ludzi, np. Głowińskiego. Wiadomo, że oni nie przychodzili jako marksiści, tylko właśnie raczej inspirowani przez strukturalizm, no, już trochę adaptowany wtedy i przez Mayenową, Budzyka.

Pan w tych latach już odchodził z IBL-u. Dlaczego?

Dlatego że atmosfera w Instytucie przestała mi odpowiadać, powstały te sławne wojny między interpretatorami a materiałowcami. W dodatku miałem w Instytucie złą reputację – bo usunąłem Jakubowskiego.

Potrzebne były etaty, więc dla dobra sprawy usunąłem Jakubowskiego, który niewiele robił, a także Janusza Wilhelmię, bo w ogóle w IBL-u nic nie robił. To było moje zadanie – które musiałem wziąć na siebie, bo nikt nie chciał się na to zdecydować. Stąd miałem konflikty.

Wilhelmię mam na sumieniu. W tym sensie – wspominam tę sprawę, bo ukazał się kiedyś o Wilhelmię artykuł byłego redaktora „Trybuny Ludu”, gdzie to opisano – że gdy go zwolniłem z IBL-u, on powiedział sobie: od teraz będę już zawsze z tymi silniejszymi batalionami. I wtedy, kiedy my odchodziliśmy od tych batalionów, on wstąpił do partii, stał się gorliwym partyjniakiem. Człowiek, dla którego początkowo marksizm był czymś obcym i wrogiem zupełnie!

Co w takim razie spowodowało, że pan profesor wrócił?

Byłem bardzo przepracowany, miałem za sobą trzy czy cztery lata dojeżdżania do Łodzi, gdzie prowadziłem dużo zajęć, i zacząłem mieć kłopoty zdrowotne. Momentalnie Budzyk zaproponował mi, żebym poszedł na jego katedrę na Uniwersytet Warszawski, a Wyka zaproponował, żebym wrócił do IBL-u. Bardzo porządnie się wobec mnie zachowali. Wziąłem tę pracę w IBL-u, ale po dwóch latach znowu zacząłem dodatkowo dojeżdżać do Łodzi. Lubiałem pracę dydaktyczną, a Łódź jest moim rodzinnym miastem. Do żadnego nie jestem tak przywiązany. To już było w latach 60.

Był już pan po ogłoszeniu pracy o Strugu.

Tak, Strug to 1959 rok. Ale książka gotowa była wcześniej, tylko przetrzymano wydanie o rok, ponieważ byłem na stypendium w Paryżu. Wiadomo, chodziło o to, czy stypendysta wróci, czy nie wróci.

Ale nawet po wydaniu książki cały czas zajmował się pan chyba Strugiem?

Cóż, mieli rację ci, którzy mówili, że nie lubiłem być przy jednym temacie. Mnie zajmowała literatura w całości, od staropolszczyzny do współczesnej, choć głównie XIX i XX wiek. Ale rzeczywiście, gdy wyjeżdżałem, to myślałem – oprócz tego, że o *Liberum veto*, a także o wyborze *Kronik* Prusa. Ciekawe, że ten projekt powrócił do mnie po latach, właśnie teraz finalizujemy drugi

wybór. Miałem też przed opuszczeniem Polski na warsztacie książkę o krytyce literackiej Ignacego Matuszewskiego. Pracowałem także nad drugim tomem monografii o Andrzeju Strugu, ale „czasowo” to przerwałem, po doświadczeniach, jakie już miałem z pierwszą częścią.

Jakie to były trudności?

Cenzurowano mi te partie, w których próbowałem określić miejsce Struga na tle ruchu niepodległościowego. Nawet zastosowałem taki wybieg: trudniejszy tekst, o który się bałem, że nie przejdzie w książce, posłałem do krakowskiego „Życia Literackiego” i tam mi go wydrukowali, a w książce faktycznie cenzura warszawska niesamowicie mi to pokiereszowała. Tak że są dwie wersje o Piłsudskim i o przejściu Struga do Frakcji Rewolucyjnej PPS: wersja krakowska, rozbudowana, i warszawska, książkowa, z wykreślonymi partiami.

A co planował pan zawrzeć w drugim tomie monografii o Strugu?

Pierwszą rzecz doprowadziłem do pierwszej wojny światowej, a tu miało być przejście wojny, doświadczenia tego okresu oraz Strug w dwudziestolecie: *Odnaka za wierną służbę, Żółty Krzyż, Miliardy* itd.

Opowiem panu anegdotę na temat *Miliardów*. W tej powieści, zresztą niedokończonych, w jednym miejscu jest taka postać anarchisty amerykańskiego, który mówi: Stalin jest gorszy niż Hitler. I oczywiście z tego powodu odmawiali stanowczo wydania w PRL-u. Kiedyś przychodzi do mnie Strugowa, myśmy bardzo się przyjaźnili, i powiada: panie Samuele, umówiłam się z Ireną Szymańską, że wydamy *Miliardy*, usuniemy tylko to zdanie. Ja – patrzący od strony skrupulatności filologicznej – skrzywiłem się, na co ona mówi: niech pan się nie martwi, jak wyjdzie ta książka, ja złapię za telefon, zrobię parę telefonów i cała Warszawa będzie wiedziała, co zostało usunięte!

Ale nie doszło do tego, niestety. A książka jest ciekawa, zasługiwała i zasługuje na wydanie – zwłaszcza dziś, kiedy mówi się i pisze o kryzysie kapitalizmu.

Pracę *Andrzej Strug wśród ludzi podziemnych* napisał pan w drugiej połowie lat 50., kiedy Instytut, że tak to ujmę, stawał się krnąbrny.

Tę książkę napisałem z taką sugestią, że trzeba otworzyć drzwi dla ludzi lewicy, którzy nie byli komunistami. Chciałem podkreślić, że Strug jest pisarzem wielkich zasług i osiągnięć. W obliczu hitleryzmu i faszyzmu głosił potrzebę i konieczność konsolidacji ruchu robotniczego i sił demokratycznych i działał w tym kierunku.

Otóż właśnie. Nie wiem, czy dobrze to odczytuję, ale wydaje mi się, że w tym poniekąd manifestuje się typowa dla późniejszego już IBL-u silna niezależność badawcza. Pan pokazuje rdzeń socjalistycznego myślenia jakby na przekór temu, co oficjalne.

O to chodzi. Pan wspomniął sprawę *Wokół Trylogii*: już wtedy mi powiedzieli, że zastanawiają się, czy mają książkę skonfiskować, czy wydawać. Zawsze byliśmy krnąbrni, bo w końcu doceniało się – no, czasem się przeceniało – pisarzy, których niekoniecznie lubiano w Komitecie Centralnym.

IBL ma czarną legendę, ale równocześnie zawsze w tym IBL-u były rozmaite nurty. Nie ma specjalnie sensu sprowadzać do tego samego poziomu działalności IBL-u i pewnych krańcowych rzeczy, na przykład takich, że ktoś zniekształcał, wydając materiał literacki, pierwowzór, czy tego, że ktoś z dyirekcji był niekompetentny albo że czasem pracowali tam ludzie niewielkich lotów. Myślę, że z legendami jest tak, że są legendami.

Przecież Żółkiewski i Wyka byli bardzo otwarci na różne rzeczy i przyjmowali różnych ludzi, gdyż znali ich kompetencje naukowe lub dostrzegali potencjalne zdolności młodych badaczy, nawet początkujących studentów.

Jako jednego z badaczy, którzy położyli wielkie zasługi dla zbudowania rangi IBL-u, wymienia się Kazimierza Budzyka. To on wypromował cały zastęp wybitnych uczonych.

Tak, świetnych ludzi, właśnie Głowińskiego, Sławińskiego, Okopień-Sławińską. Łączyli pracę w IBL-u z pracą na UW – najpierw byli w IBL-u, potem Budzyk wziął ich jeszcze na katedrę.

A jak w ogóle wyglądało przyjmowanie doktorantów do IBL-u?

To się odbywało dosyć spontanicznie. Dostawaliśmy etaty, to trzeba było zatrudnić ludzi i rozglądano się: a, zdolny człowiek, to go weźmiemy do Instytutu. Naprawdę, w ten sposób Lipskiego ściągnięto, w ten sposób tych młodych ludzi z uniwersytetów ściągnięto. Napisał jakąś intrygującą recenzję, weźmy go. Tak to się układało. Skąd się Rymkiewicz, Trznadel, Najder wzięli w Instytucie? Z tego naboru, gdzie się zbierało zdolnych ludzi. Przecież to nie wymagało żadnych deklaracji ideowych. W latach 50. najlepsi byli Sławiński, Okopień-Sławińska, Głowiński, więc ich ściągnięto. Nie było, że tak powiem, jakiegoś master planu.

Niezmiernie ważną postacią IBL-u, skupiającą ludzi dookoła siebie, była Maria Żmigrodzka. Miała wielkie zasługi w organizowaniu pracowni romantycznej – równocześnie zajmując się zresztą Orzeszkową.

Kiedy pan poznał Marię Żmigrodzką?

To była znajomość jeszcze z Łodzi. Co prawda rzadko, ale jednak zachodziłem na wspomniane seminarium dla młodych polonistów do „Kuźnicy” (rzadko, bo byłem zajęty jako dziennikarz PAP-u). Żmigrodzka i Janion wciągnęły mnie trochę później, gdy byłem już we Wrocławiu, do pisania we „Wsi”, one były tam kierowniczkami działu krytyki, opublikowałem u nich moje pierwsze recenzje.

Maria Żmigrodzka była górującą postacią w Instytucie. Także w życiu. Była z nas wszystkich najbardziej dojrzała, najbardziej doświadczona, wyjątkowo mądra. Miała spojrzenie na wszystkie rzeczy o wiele bardziej dojrzałe niż my, którzy pracę naukową rozpoczynaliśmy w IBL-u. Bo w końcu myśmy byli szalenie młodzi, jak wchodziliśmy do Instytutu. Niech pan pomyśli – pan jest bardzo młody, ale myśmy, cała ta grupa, byli cofnięci jeszcze okresem wojny po prostu, nie mieliśmy młodości. A Żmigrodzka studiowała w okresie okupacji, była w tym uniwersytecie w Częstochowie, gdzie uczyli Szwejkowski, Pollak.

Bardzo wybitna postać, jedna z najwybitniejszych.

Skoro mówimy o pana etapie łódzkim – wtedy też chyba znał już pan Alinę Brodzką.

Myśmy w Łodzi byli w takiej organizacji studenckiej „Życie” [Akademiczki Związek Walki Młodych „Życie” – dopisek red.]. Ona i Tamara, późniejsza żona Kołakowskiego, a także żony Woroszylskiego i Leśniewskiego były jeszcze w gimnazjum i przychodziły do nas, jak odbywały się zebrania studenckie, pomagały organizacyjnie – jako licealistki nawiązujące kontakt z ludźmi. A później Inka była jedną z pierwszych, które Żółkiewski zabrał do IBL-u. I w 1949 roku ona z Baculewskim nawiązali ze mną kontakt, żeby zorganizować wspomnianą konferencję o Sienkiewiczu. Tak że Inka Brodzka była jedną z najstarszych z IBL-u, obok Żmigrodzkiej i Janion.

Była też później w Instytucie taka osoba – Mirosława Puchalska, nadzwyczaj dobra, warto ją przypomnieć. Zmarła kilkanaście lat temu, młodo, mając pięćdziesiąt kilka lat. Nie zrobiła doktoratu, po prostu zaniedbywała własne badania, więc należała zawsze do tych młodszych pracowników, ale była ogromnie ceniona w IBL-u za swoją wiedzę, aktywność naukową, w ogóle za dużą pracę, którą wykonywała w Instytucie. Napisała pracę o Orkanie, była współredaktorem *Obrazu literatury pozytywizmu i Młodej Polski*.

Wzmiankował pan o spotkaniach „Kuźnicy”. Jak rozumiem, już stamtąd znał pan Jana Kotta?

Tak. To były takie zajęcia członków redakcji, przychodzili Matuszewski, Ważyk, Żółkiewski, od czasu do czasu Sandauer, zresztą zawsze nas prowokował. A później Kott był nawet w mojej wrocławskiej komisji doktorskiej, będąc wtedy na romanistyce. Mogę panu powiedzieć anegdotę. Jego teściem był Hugo Steinhaus, sławny matematyk ze szkoły lwowskiej. Kott, jak wiadomo, był bardzo czynny, miał bardzo żywe usposobienie, łatwo wchodził w kontakty z ludźmi. I najpierw przyszedł do Wrocławia na polonistykę, ale wtedy umarł profesor romanistyki, wobec czego wyznaczyli Kotta, żeby pełnił obowiązki kierownika katedry romanistyki; później umarł profesor anglistyki, więc powierzyli Kottowi opiekę nad katedrą anglistyki, oczywiście prowadził egzaminy. I on się chwalił teściowi: widzisz, przyszedłem tutaj na polonistykę, a objąłem i romanistykę, i anglistykę. Steinhaus na to: ale jak zostaniesz kierownikiem katedry matematyki, to ja się podaję do dymisji.

Ta anegdota dużo mówi o tużpowojennej sytuacji uniwersyteckiej.

Rzeczywiście nie było profesorów i w katedrze oprócz profesora nie było nikogo innego, kto mógłby się opiekować katedrą. A Kott już miał tytuł najpierw zastępcy profesora, a później dali mu profesurę, jak go wygnali z Warszawy i skierowali do Wrocławia.

Swoją drogą kiedy on nastał we Wrocławiu, stworzył bardzo ciekawe seminarium dla takich awangardowych studentów. Trudno mówić – marksistowskich, po prostu dla grupy zdolniejszych ludzi. Spotykaliśmy tam się u niego i dyskutowaliśmy na przykład o utworach Orzeszkowej z grupy *Widm* – takie rzeczy go interesowały.

Co to znaczy, że „wygnali” Kotta z Warszawy?

Naprawdę go wygnali. Za „herezje”, jakie głosił. Był okres, w 1948 roku – czyli akurat wtedy, gdy powstawał Instytut – że nie chciano, żeby był w Warszawie i działał w tym środowisku, wysłano go do Wrocławia.

Ale potem wrócił.

No tak, ściągnięto go z powrotem. Żółkiewski go nawet ściągnął do Instytutu na wicedyrektora. Był kontrowersyjnym wicedyrektorem.

Na czym polegała ta kontrowersyjność?

Na polityce personalnej. Jako wicedyrektor miał swoją wizję ludzi i nie radził się, stąd były konflikty, łagodzone właśnie przez Żmigrodzką. Bardzo

łągodzone. Ona była wpływową osobą, bo była kierownikiem działu romanizmu, najważniejszego właściwie działu naukowego. Myślę, że żaden dział nie miał takiego rozmachu, jak ten, który ona prowadziła.

No i który właściwie ciągnął – pospołu z teoretycznymi dokonaniem Instytutu – tę drugą legendę IBL-u, tę taką dobrą naukową legendę.

W końcu tam byli najlepsi ludzie – romantyzm był już wtedy w centrum zainteresowań. Trochę było kontrowersyjne może akcentowanie aspektu rewolucyjno-demokratycznego, niemniej tam się rodziło nowe pojęcie romantyzmu, nowa nauka o romantyzmie. Obserwowano, jak romantyzm się rozwijał za granicą, w Europie Zachodniej.

A jak by pan profesor widział rolę swoich pracowni – pozytywistycznych – w zbudowaniu nowego obrazu epoki?

Odpowiem panu anegdotycznie. Jak wróciłem do Instytutu, to Wyka mnie zapytał, co chciałbym robić. Chciałem prowadzić dział literatury drugiej połowy XIX wieku (bo ja zmieniłem nazwę – wcześniej był to dział literatury pozytywizmu), ale nie miałem pracowników: Markiewicz był w Krakowie, tak samo Janusz Gośliński, i tutaj na miejscu, poza Inką Brodzką, która zresztą oscylowała ku teorii literatury w tym okresie, nie miałem nikogo. Oficjalnie byłem kierownikiem działu, ale ten dział nie miał właściwie pracowników. A przed 1957 rokiem, jak go objąłem, była tam cała grupa ludzi, łącznie z Najderem i Wilhelmmem, Jakubowskim, których musiałem zwolnić.

Żółkiewski werbował, ale później – co mógł zrobić? Miał teorię słuszną: nikogo nie można zmusić do pracy naukowej. Jak ktoś nie chciał, nie umiał pracować, to nie pracował, nie było na to rady – i albo można go było zwolnić, co było bardzo trudne do zrobienia w tym okresie, albo akceptować jego obecność.

Ten zakład odgrywał dużą rolę w pierwszym okresie IBL-u. Na przełomie lat 40. i 50. dużą wagę przykładano do pozytywizmu. A IBL nadawał ton – także metodologicznie – badaniom.

To się nie zrodziło jakos z premedytacją. Okazało się, że pewni ludzie chcieli się tym zająć. Kott był w gruncie rzeczy promotorem tych poszukiwań: realizm XIX wieku. Szukał Balzaka w Polsce – nie było Balzaka w Polsce, a na Prusa Kott się nie bardzo pisał, bo *Lalka* go nie zadowalała, choć była książką naprawdę o ówczesnej rzeczywistości polskiej.

Ale napisał książkę o *Lalce*.

Tak, o to chodzi. Tylko że nikt nie przyjął jego tez. On sam też. Po pierwszym wydaniu powiedział: o, mam pomysł – nie konflikt przedstawicieli dwóch klas, tylko trzech klas! Żył pomysłami. To był człowiek wyjątkowo dużej wyobraźni. Żółkiewski (to byli przyjaciele, bardzo bliscy) mówił do niego z zazdrością: ty siadasz z sekretarką, dyktujesz jej, jeszcze nie wiedząc, co napiszesz, i wychodzi ci coś bardzo efektywnego, a ja mam w głowie ułożony cały tekst, a jak przechodzę do dyktowania, to wychodzi mi drewno. Kott miał zmysł literacki, to był naprawdę pisarz. Człowiek wielkiej inwencji.

A jak się w IBL-u znalazł Ryszard Matuszewski?

Kiedy odeszła z IBL-u Barbara Rafałowska (odeszła, bo była sekretarzem redakcji w „Twórczości”), wymyśliłem, że Ryszard Matuszewski pasowałby na kierownika pracowni literatury współczesnej. Nie był to dobry pomysł, bo on był zawsze bardziej zajęty swoim pisaniem, członkostwem w redakcji niż organizacją i pracownią. Miał tam paru ludzi (np. Andrzeja Wasilewskiego), właściwie całą grupę, ale niewiele się zrobiło, raczej nie można powiedzieć, że były jakieś osiągnięcia w zakresie literatury współczesnej. To była w najlepszym wypadku doraźna krytyka literacka, a podręcznik szkolny o tej literaturze był jednym z najgorszych – ze względów cenzuralnych.

Ale sam Matuszewski – to był bardzo porządny człowiek. Wielkiej zasługi podczas okupacji, wspaniały moralnie człowiek. Każdy prześladowany, Żydzi w szczególności, zawdzięczali jemu, że się uchowali, bo jeśli nagle okazało się, że jest się zagrożonym, że miało się „spalone” czy mieszkanie, czy „tożsamość”, szło się do niego, on ukrywał, załatwiał dokumenty, dowody osobiste. Bohater, jeżeli chodzi o okres okupacji.

Z tego, co pan profesor mówi o IBL-u, wyłania się obraz niezwykle dynamicznej placówki, która była w tych pierwszych latach jakby ciągle organizowana i przeorganizowywana.

Bo to było rzeczywiście bardzo chaotyczne. Ten Instytut ciągle był jakby w tworzeniu się. Naprawdę. Dla mnie to symboliczne, że w ciągu pierwszych czterech – pięciu lat ciągle się przenosiliśmy: najpierw weszliśmy na Śniadeckich – wyrzucili nas, byliśmy na Krakowskim Przedmieściu (w kamienicy, w której jest Księgarnia Prusa, na drugim czy trzecim piętrze) – musieliśmy jednak i stamtąd się wyprowadzić, więc weszliśmy do Pałacu Staszica, a tam chyba ze trzy razy przerzucali nas z jednych miejsc na drugie, raz wypełnialiśmy nawet strych, bo remontowali budynek. Instytut ciągle był jakby w stanie

tworzenia się, przynajmniej do 1957 roku. W latach 60. był już ustabilizowany. Powiedziałbym, że były nawet trochę objawy skostnienia. Jak wróciłem, miałem wrażenie, że to jest inny Instytut – że te działy są takie rygorystycznie ustalone, ci należą tutaj, ci tam; w latach 50. między działami była płynność, ludzie z jednego działu mogli przechodzić do drugiego, można było być w romantyzmie, a pisać o Orzeszkowej, być w pozytywizmie, a pisać o *Reducie Ordona*. I myślę, że ta ogromna płynność to jest istotna cecha Instytutu do 1957 roku. Ciągłe jakieś nowe koncepcje rodziły się w ciągu tygodnia, miesiąca.

Legenda, że się miało plan, że chciało się zapaskudzić marksizmem badania – to jest legenda. Od początku myślano o tym, co zrobić z Instytutem. Idea utworzenia Instytutu wyszła z tego, że Komitet Centralny uznał, że powinien być jakiś bardziej ideologiczny, że tak powiem, instytut – to z tego powodu IBL powstał, prawda, ale momentalnie ta linia była skrzywiona ze względu na przyjęcie tych, zajęcie się tamtym, przejęcie „Pamiętnika Literackiego” i tak dalej. Naprawdę to IBL do około 1957 roku się formował.

I nie było tak, że to, co pisano w IBL-u, staowało się dogmatem. Czy na przykład Henryka Markiewicza opinie o Prusie czy Żeromskim stały się dogmatem? – nie, były punktem wyjścia do badań. Jak już mówiłem: polemizowano, odchodzono, sam badacz zmieniał, przechodził swoją ewolucję. Każdy z nich, ja myślę. Janionówna jest może najlepszym przykładem tych ewolucji rozmaitych. Żmigrodzka przez całą swoją biografię naukową ewoluowała. To był bardzo twórczy ferment. Oczywiście – dla tych, co chcieli cokolwiek robić.

Założenie Żółkiewskiego, Wyki było takie: jak ktoś coś umie, jest inteligentny i ma talent, to dać mu rozwijać się w tym kierunku, w którym chce. Kubacki w jedną stronę, Mikulski w inną stronę, Markiewicz w trzecią. Po prostu nie krępowało się ludzi. Ta czarna legenda przypieczętowuje oparte na innym wyobrażeniu myślenie o IBL-u.

Czy jest coś z tego okresu IBL-owskiego, z czego jest pan może szczególnie dumny?

Z niczego nie mam powodu być dumny, robiło się to, co człowiek umiał. Pamiętam, że kiedy po powstaniu „Polityki” Żółkiewski został jej redaktorem naczelnym, ściągnął Markiewicza i mnie do siebie do mieszkania i mówi: słuchajcie, trzeba się zabrać do uprawiania publicystyki. Odpowiedzieliśmy mu, że my się uczymy ciągle. I tak było. Naprawdę, my byliśmy zapóźnieni, byliśmy wciąż uczącymi się. Po Październiku miało się poczucie przechodzenia reedukacji. W końcu zaczynaliśmy wszyscy jako studenci, jeszcze nie mając stopni; niech pan zwróci uwagę: Markiewicz dużo publikował, zanim został magistrem, Żmigrodzka tak samo, Janionówna – nim doszły do doktoratu, miały kopę rzeczy zrobionych. Ja myślę, że w dużym stopniu to pierwsze

dziesięciolecie IBL-u to jest dziesięciolecie uczenia się, żeby podejmować badania literackie.

Pamiętam, że kiedy jeszcze jako student byłem na pierwszej powojennej konferencji polonistycznej, to marksiści byli w mniejszości. Kleiner wchodził na trybunę i pytał: co wy macie do powiedzenia? My przychodzimy ze starym, dobrym, ważnym dorobkiem, który ludzie studiuja, a co wy reprezentujecie? I miał rację. Grupa młodzieży przecież, a i nowicjusze w badaniach literackich. Z czym przychodził Kott? Z czym przychodził Żółkiewski? Budzyk? Niech pan pomyśli, ci ludzie dopiero zaczynali. Zaczynali równocześnie ze startem działalności IBL-u, jeszcze nie mieli żadnego dorobku naukowego. Literacki – owszem, Kott miał. Mayenowa miała jedną rozprawę, pisaną przed wojną. Myślę, że nie docenia się tego, że Instytut był płynną rzeczą, początkiem edukacji. I w jakich ograniczeniach. Przecież kraj był zamknięty dla nowych myśli, dla nowych idei, metodologii aż do 1956 roku.

Pewnego dnia, gdy po śmierci Stalina zaczęła się odwilż w ZSRR, Żółkiewski dostał zaproszenie dla trzech polonistów, żeby wybrali się do Rosji, bo trzech rusycystów miało przyjechać tu. Żółkiewski wybrał Mikulskiego, Markiewicza i mnie. To znaczy trzy pokolenia pracowników naukowych. Między mną a Markiewiczem jest trzy lata różnicy, ale ja reprezentowałem najmłodsze naukowe pokolenie, a Markiewicz starsze, mimo że jeszcze trudno było powiedzieć, by doszedł do wieku średniego, natomiast Mikulski – to dojrzałe, mimo że też w gruncie rzeczy w 1954 roku był początkującym badaczem, jakkolwiek wielkim erudyta. To była delegacja Polskiej Akademii Nauk – niech pan pomyśli. To potwierdza moją tezę o wielkiej płynności Instytutu.

Myślę, że perspektywa powinna być trochę zmieniona. Te rzeczy się dopiero tworzyły. Dopiero w odniesieniu do lat 60. możemy mówić o pewnej stabilizacji. Wyobrażano sobie, że to jest partyjny instytut... Jego partyjność była bardzo problematyczna. Chyba w żadnym instytucie na zebraniu partyjnym nie zbierano pieniędzy na opłacanie obrony prawnej studentów więzionych i sądzonych za udział w demonstracjach protestacyjnych.

Na zebraniu partyjnym?

Tak, w 1968 roku Maria Żmigrodzka szła z kapeluszem dookoła i myśmy wkładali do niego pieniądze.

Abstract

Samuel Sandler, Przemysław Kaniecki

SAMUEL SANDLER UNIVERSITY OF CHICAGO, PRZEMYSŁAW KANIECKI UNIVERSITY OF WARSAW

Fluidity. Interview with professor Samuel Sandler on the beginnings of the Institute of Literary Research of the Polish Academy of Sciences

This interview presents an academic career of Samuel Sandler until 1969 and the beginnings of the Institute of Literary Research of which he was one of the first employees. This literary historian claims that the key characteristics of the Institute at the turn of the 50s. was fluidity and a certain chaos – in respect to both organisational structure and research topics. The interview counters the so-called black legend of the Institute as the centre of Marxist thought.